NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 19 czerwca 1915. Nr. 25.

Ku wiecznej pamięci poległych Legionistów.



Uroczystość poświęcenia pomnika na grobie Legionistów w Marcinkowicach.

Ku wiecznej pamięci poległych Legionistów.

Na uroczem wzgórzu, wznoszącem się niejako ponad wierzchołki lasów podkarpackiej wioski polskiej Marcinkowice, koło Nowego Sącza, u stóp której ciągnie się wspaniała wstęga Dunajca — w dniu 30 maja zebrał się różnorodny, tysięczny tłum. Przed zebranym tłumem okazały, wysoki, biały pomnik w kształcie obeliska, cały obłożony wieńcami i obsypany kwieciem. Pod pomnikiem wspólna mogiła Legionistów polskich, którzy tu padli w dniu 6 grudnia 1914 roku, podczas walki z wrogami. Szło ich moc, bo cały jeden korpus rosyjski ciągnął pod Limanową w kierunku Krakowa, by gród wawelski i mieszkańców polskich miast i wsi od Nowego Sącza po Kraków „wyswobodzić z niewoli". Zanim Moskale doszli do zamierzonego celu, utknęli po drodze na twardym i spoistym, żywym murze młodych a dzielnych i wytrwałych synów Polski, tworzących I. brygadę Legionów polskich. Żywy mur stał silnie — nie przepuścił nawały rosyjskiej, jedynie tu i ówdzie pod piekielnym ogniem armatnim padła żywa cegiełka tego muru. Na wzgórzach marcinkowickich siedmiu Legionistów złożyło w ofierze swe życie. Poległ kapitan Legionów Władysław Milko, redaktor ze Lwowa, a obok niego Legioniści: Stefan Wykowski, kierownik kopalń naftowych z Borysławia, Stanisław Trojanowski ze Lwowa, Władysław Szymanowicz, słuchacz akademii górniczej w Loeben, Władysław Kołodziej, uczeń gimnazyum ze Stryja, Józef Wnęk, masarz z Zakopanego i Jan Kapka, uczeń gimnazyum z Podgórza.

Zwłoki ś. p. Szymanowicza i Kapki ekshumowano i przewieziono do miejsc rodzinnych — pozostałym mieszkańcy Marcinkowic postawili własnym sumptem pomnik ku wiecznej ich pamięci.

Poświęcenia dokonał w dniu 30 maja b. r. kanonik ks. Wścisło z Chomranic, przyczem poświęcił gorące wspomnienie poległym. Następnie przemawiał porucznik Legionów Tadeusz Górski, wkońcu imieniem miejscowej ludności obywatel Wnęk.

Podniosłą uroczystość, z której podajemy dwa zdjęcia, zakończono odśpiewaniem pieśni religijnych i patryotycznych.

J. Rolski.





(Wszelkie prawa zastrzeżone). Resztki z młyna. **Po pogromie Rosyan:** Szkoła po zbombardowaniu. (Fot. W. Zapała)

Po pogromie Rosyan.

Prędzej, niż można było się spodziewać, prawie już cała Galicya została oczyszczona z nieprzyjaciela. Rozbite armie rosyjskie, choć usiłują stawić rozpaczliwy opór, nie mogą oprzeć się druzgocącej sile wojsk sprzymierzonych i cofają się w popłochu, pozostawiając zwycięzcom w wielkiej liczbie jeńców, broń i amunicyę. Odebranie Lwowa jest już tylko kwestyą najbliższego czasu, z czem liczą się sami Rosyanie, ewakuując pospiesznie stolicę kraju, której usiłowali już nadać za wszelką cenę pokost rosyjski.

Po odzyskaniu kraju — możemy dopiero przekonać się o tych ciężkich przejściach, jakie dotknęły



Ku wiecznej pamięci poległych Legionistów: Pomnik na grobie Legionistów w Marcinkowicach.



Po pogromie Rosyan: Jedyna pozostała izba we wsi na linii bojowej.



Po pogromie Rosyan: Jeden we wsi pozostały mieszkaniec.
(Fot W. Zapała. Wszelkie prawa zastrzeżone).

ludność naszych wsi i miasteczek. Pisma codzienne są zapełnione opisami ostatnich walk i ich skutków, jak również szczegółami z gospodarki Rosyan na ziemi polskiej. W miarę możności, nie szczędząc trudów i kosztów, staramy się ten obraz uzupełnić dokumentami najautentyczniejszemi, bo oryginalnemi



Z żałobnej karty Legionów: S. p. kapitan Franciszek Pększyc (Grudziński).

zdjęciami fotograficznemi. W poprzednich numerach zamieściliśmy cały szereg fotografii z różnych miejscowości Galicyi z czasu inwazyi rosyjskiej i po wypędzeniu wroga. W dzisiejszym numerze zamieszczamy dalsze zdjęcia.

Ofiary wojny.

Niema dnia, by pisma nasze nie przyniosły smutnej wiadomości o śmierci na polu bitwy osób, których stratę głęboko odczuwa całe nasze społeczeństwo.

Do rzędu ich należy ś. p. Edmund Weychert, artysta dramatyczny, znany dobrze Krakowianom, jeden z najbardziej utalentowanych artystów młodszej generacyi.

O śmierci jego w młodym wieku, bo zaledwie w trzydziestym roku życia, donoszą pisma warszawskie. Padł na terenie walk po stronie rosyjskiej.

Za dyreckcyi Solskiego należał ś. p. Weychert do składu krakowskiej drużyny dramatycznej, zyskał też tutaj ogólne uznanie tak publiczności, jak i fachowej krytyki, która nigdy nie szczędziła mu słów rzetelnego uznania, na jakie zasługiwał. Ceniono talent i sumienną pracę artysty, który celował zwłaszcza w rolach nastrojowych nowoczesnego repertuaru i w szybkiej swej karyerze scenicznej dźwigał się na pierwszorzędne stanowisko.

Stąd przeniósł się do Warszawy, gdzie również przyjęto go życzliwie i oceniono należycie, zaliczado najlepszych sił artystycznych.

Scena polska, na której trwały ślad swej pracy poległy artysta pozostawił, jak niemniej pubiczność krakowska i warszawska, których był ulubieńcem, zachowają imię młodego, przedwcześnie w zawierusze wojennej zgasłego artysty we wdzięcznej pamięci.

W innej znów stronie, bo pod Rymanowem w Galicyi, padł dnia 9. maja 1915 roku na polu chwały Aleksander Paszkiewicz, major austryackiego pułku piechoty nr. 77 z Sambora, gdy na czele swego batalionu szedł do szturmu na przyległe wzgórze.

Od początku wojny ciągle w ogniu, brał udział w trzydziestu kilku bitwach, odznaczając się nieustraszonem męstwem i pogardą śmierci, tutaj dopiero zakończył bohaterski żywot, trafiony dwiema kulami karabinowemi w serce i usta.

Liczył lat 42. Osierocił żonę, Michalinę z Konopków z Mogilan pod Krakowem i dwie córeczki.

Z żałobnej karty Legionów.

Legiony okryły znowu sławą oręż polski. Ale sława i śmierć, to dwie siostrzyce. Wielu już dzielnych bojowników złożyło w ofierze swe młode życie! Wciąż wyrastają świeże mogiły, a wśród nazwisk, zapisanych na żałobnej karcie Legionów, szczególnie bolesnem echem odbiła się śmierć ś. p. Franciszka Pększyca, który walczył w Legionach pod pseudonimem Grudzińskiego. Padł bohaterską śmiercią w tym właśnie dniu, w którym za swe zasługi, położone na placu boju, został mianowany kapitanem.

O ś. p. Franciszku Pększycu-Grudzińskim pisze towarzysz broni, znany powieściopisarz Juliusz Kaden we wspomnieniu pośmiertnem:

„Franciszek Pększyc (Grudziński) urodził się w r. 1891, do szkół uczęszczał w Krakowie, studya uniwersyteckie odbywał w Krakowie i Lwowie (Politechnika). W roku 1905 należał do skautu; brał żywy udział w formowaniu się i rozwoju drużyn strzeleckich we Lwowie. W czasie wyruszenia pierw-



Ofiary wojny: S. p. Edmund Weychert, były artysta dramatyczny sceny krakowskiej i teatrów rządowych warszawskich.

szych oddziałów polskich do Królestwa, walczył w armii austryackiej przeciw Czarnogórze. Połączywszy się z I. brygadą, odbył cały szereg bitew. Był ranny pod Laskami. W bitwie pod Łowczówkiem znakomicie prowadził IV. batalion. Zołnierze cenili i kochali młodego porucznika.

Później dowodził czwartą kompanią IV. batalionu. Ranny w ostatniej bitwie i przewieziony do polowego szpitala, uciekł stamtąd, by jak najprędzej wrócić do oddziału. Powrót do szeregów brygady I. przyjęła jego kompania w nocy, leżąca w okopach, tak potężnem hurra, że rakiety poczęto świecić wzdłuż całego frontu, a zaniepokojeni Rosyanie wysłali patrol, który się dostał do niewoli. Dnia 3 czerwca koło godziny 11 w południe z okopów przed wsią...



Po pogromie Rosyan: Rynek w Rymanowie, strona południowa.





Szkolnictwo w czasie wojny:

Uczniowe IV. gimnazyum realnego w Krakowie podczas pauzy.

Lekcya łaciny w ósmej klasie IV. gimnazyum realnego w Krakowie.

wyruszył Grudziński z dwoma żołnierzami na wywiad. Dzieliła go od Rosyan falista przestrzeń nie-



Po pogromie Rosyan: Żołnierze rosyjscy pod Tarnowem z psami tresowanymi do ostrzegania przed atakiem.

wielkich wzgórz, okrytych żytem. Za temi wzgórzami i za zbożem ciągnie się wieś. Tędy, wśród zboża kwitnącego — bo właśnie kwitło żyto — szedł Grudziński z dwoma żołnierzami, jakby wyzywając śmierć. Niedaleko od pozycyi rosyjskich, zwią→zawszy się z niemi strzelaniną przed frontem wsi, padł rażony kulą w głowę.

Już w czarne słońce śmierci patrząc, we krwi i w salwach wystrzałów, już ślepy — wychylił Grudziński swe zdrowie do dna, strzelając sobie w serce... By przyjść z pomocą, komendant Satyr rozpoczął bitwę, szturm ogniowy zarządzając na obu flankach. Dopiero pod osłoną tej burzy ognistej, udało się sanitaryuszom zabrać zwłoki porucznika. Drugiego dnia odbył się pogrzeb. Trumnę wystawiono we wiejskim kościele. Okryto ją sztandarem narodowym, a przez skrzydła orła białego biegła czarna wstążka żałoby. Zapalono świece. Ksiądz kapelan Zydkiewicz przemówił, zadrżała we łzach warta honorowa na ostatnią baczność. Gdyśmy wyszli z cmentarza ku wzgórzu i pozycyom w głębinach wieczora, pod spokojnym ogromem fioletowego nieba płonęły stogi zboża, trafione jakimś wystrzałem".

S. p. Pększyc-Grudziński już jako młodzieniec brał żywy udział w pracy społecznej i marzył o walce za Polskę.

W pozostawionym przez zmarłego pamiętniku, który zaczął pisać na ławie szkolnej, w dniu 27 grudnia 1910 roku takie zapisał słowa, odnoszące się do chwili obecnej:

„Niepodległość Polski konieczną jest dla osiągnięcia wielkich celów świata; aby osiągnąć niepodległość Polski, konieczną jest armia. Ja stworzony tylko dla armii. Do utworzenia polskiej dążę i dążyć będę. Coraz więcej jestem zdecydowany wszystko poświęcić dla niej — to znaczy siebie. Co daj Boże! Natchnienia tylko, kierunku i czynu — już mocnego i dzielnego. Walkę już daj, Panie — wielką wojnę o szczęście i spokój ludzkości — daj mi w niej brać udział! Niechaj już stanie armia polska. Tysiące i miliony ludzi karnych. Broń w ręku. Teraz już tylko czynić!"

Spełniły się marzenia młodzieńca. Stanął też — jako jeden z pierwszych — w szeregach polskiego czynu zbrojnego i padł na polu chwały.



Po pogromie Rosyan: Rynek w Rymanowie, strona wschodnia.

JÓZEF LASOŃ.

UŁANI BELINY.

(Epizod z walk Legionu).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Z rozkazem.

Cedro popuścił cugle koniowi, niedbale ujął w ręce rzemienie, zamyślając się głęboko. Czako ułańskie ciężyło mu na głowie, lewą ręką ujął je z lekka, poprawiając przytem zaplątaną w rzemienie ciężką ułańską szablicę. Pot obficie lał się z częściowo wyłysiałego czoła, choć trzydziestki nie przekroczył jeszcze, czarne bokobrody siwieć już gdzieniegdzie poczęły. Bystrem okiem od czasu do czasu bacznie wpatrywał się w okolicę, nadsłuchując z dala płynących detonacyj strzałów armatnich.

Między Sanem a Wisłą toczył się zacięty bój, armia Dankla ruszyła pod Iwangród. Koń, nie pędzony ostrogą, zwolna, noga za nogą wlókł się, parsknąwszy czasami, kiedy koń ułana Chełmeckiego zabiegł mu drogę.

Siwiejąca już postać Chełmeckiego, pomimo pół wieku lat, dzielnie trzymała się na koniu, jak gdyby cały swój żywot na nim przepędziła. Wesoło na świat patrzące oczy znamienowały humor i odwagę, zmarszczki po starzejącej się już twarzy, jakby rysy Satyra, rysy ostre, wyraziste, na pierwszy rzut oka bojaźnią napełniały, jednakże już po kilku słowach wyłaziła z duszy dobra. uczynna, do rany przyłożyć się dająca natura. Twarz, choć miejscami oszpecona ospą, sympatyą ujmowała, chwytała za serce.

Wyniosła postać Cedry, regularne rysy twarzy, ciemno piwne oczy, z których bił rozum, spryt i energia, wysokie czoło, szlachecki typ znamienowały. — Żywa postać ułana Poniatowskiego, oszalałego w brawurze męstwa, do ostatniej kropli krwi niezwyciężonego. Na przodzie, na siwym koniu, jechał oficer kawaleryi, Sosnowski, młodzik, z wyrastającem dopiero męskim uśmiechem na dziecinnie skrojonych wargach, prowadził garstkę kawaleryi, aby ją połączyć z szwadronem Beliny.

Przed nimi wozy z amunicyą, z kilkunastoma nowozaciężnymi ułanami zlewały się w samoistną całość tego drobnego oddziałku.

Koń Chełmeckiego szarpnął się nagle, stanął nieruchomo, rżąc, łeb skierował do rowu, gdzie leżał zabity koń z rozprutemi wnętrznościami.

— Psiakrew — mruknął Chełmecki — koń w melancholię wpada.

Ściął ostrogami konia, zrównał się z Cedrą.

— He... he... — zaśmiał się Cedra — musicie koniowi zawiązać oczy. Pełno tu leży zabitych koni. Jak zacznie nad każdym gorzkie żale ciągnąć, na noc nie zdążymy dotrzeć.

Co kilkanaście kroków leżały padłe konie, zgnilizny woń zalatywać poczęła dokoła. Popalone, opustoszałe wsie smętny widok sprawiały — jedno wielkie cmentarzysko.

Zdala lśniła się srebrna wstęga Wisły, a promienie słoneczne kąpały się w czystej toni płynącej rzeki, tęczowe kolory biły od powierzchni, tysiącem odcieni barw się mieniąc.

Stuk siekier donosił o pracy nad budową mostów pod Sandomierzem, któremi armia Dankla przeprawić się miała na lewy brzeg Wisły, aby pójść pod Iwangród.

Długi, setkami wozów ciągnący się tren armii sprzymierzonych rozłożył się pod Sandomierzem, czekając na ukończenie budowy mostów, aby za armią podążyć.

Chełmecki spojrzał na zasępione oblicze Cedry, podjechał z koniem obok niego i niespodzianie uderzył go szeroką, niedźwiedzią łapą po plecach.

— Cóż do licha! Wyglądasz obywatel, jak z krzyża zdjęty. Precz z troskami. Pewnie Amor strzałę wypuścił i ugodził waćpana w samo serce.

— E... nie... — odparł niechętnie Cedro.

— Nie gadaj, wasan: nie, bo tak. Marzy się pewnie jaka złotowłosa postać nadobnej pannicy o niebieskiem spojrzeniu, chciałby ją wasan przed ołtarz zaprowadzić, potem na małżeńskie łoże, Amorową sprawę rozpocząć, a tu nie czas! Wojna, paniedzieju, i to pioruńska wojna. Bebechy trzeba ustawicznie włóczyć, szablicą ostro machać, celnie strzelać, a do złotowłosych tylko z konia pocałunek posyłać... He... he... he...

— Nawet mi nie w myśli złotowłosa.

— Gadaj wasan zdrów. Nie złotowłosa. To czarnulka, istny heban o powłóczystem spojrzeniu.

— Ani jedno, ani drugie!

— A cóż do licha. Wszak młodość ma swoje prawa. Ja, gdym był w wasana wieku, tom w lewo i w prawo amora słał. Taż wkońcu obabiłem się, a tu paniedzieju wojna. Baba w szloch, jak ci zacznie beczeć, taż mnie sumienie zabolało. Dalejże jej perswadować: „Pierwej Ojczyznę miałem, potem ciebie paniedzieju" i babę przekonałem. Ale na odjezdnem mi rzekła: „Pomnij, Janie, że w domu wierna żona czeka cię stęskniona i broń cię Boże, byś miał zbłądzić i zgrzeszyć, bo już bym więcej z tobą nie żyła". A gdzieżby — zwrócił się znowu do posępnego Cedra — mnie staremu chciało się figli amorowych. Taż szablicą ostro machnę, strzelam pewnie, ale co do amora, to już wam młodym zostawiam. Taż to panie wynika z tego, że poczciwemu mojemu babsku o nic więcej się nie rozchodziło, jak tylko o to, bym w panieńskim pozostał stanie, he... he... he... A gdzieżby ja tam...

— Daj tam obywatel spokój — roześmiał się Cedro — w starym piecu dyabli palą i kto wie, czyby obywatel na postoju za spódniczką nie pogonił.

— Paniedzieju, musiałoby być coś nadzwyczajnego!

— Aleby było!

— E... do pioruna, bałbym się.

— Kogo? Przewielebnej magnifiki?

— E... to nie. Ale paniedzieju, na stare lata zaplątać sobie łeb gruchaniem czułem. Nie... absolutnie, nie zdolnym.

Wydobył z bocznej kieszeni, z kutego złota, misternie wykonaną papierośnicę, ozdobioną rytymi postaciami, poczęstował papierosem kolegę.

— Zapalmy, paniedzieju, z dymem niech ulecą smutki.

— Śliczna papierośnica — zauważył Cedro.

— Pamiątka paniedzieju. Stara rodzinna pamiątka. Toż panie ojcowizna cała, jaka mi pozostała. Był i dwór ładny i szmat ziemi i lasu olbrzymi kawał, wszystko paniedzieju młodość pożarła, pozostała mi tylko ta papierośnica, dowód wielkości niegdyś, ubóstwa dzisiaj. Paniedzieju, za ognistą krew my Polacy mamy. Trzebaby dla nas wiecznej wojny, aby dać upust tej energii, inaczej młodość pożera nam wsie i dwory, starość daje torbę żebraczą, a na pamiątkę herbik stary, sygnet na palcu lub pamiątkową papierośnicę. Pan, zdaje się, uratuje choćby odrobinę z majątku, jeśli młodość ojców go nie pożarła, bo wojna jest. Krew wyszumi się na wojnie, i dworu kawał zostanie i sygnet na palcu.

— Musiała być młodość obywatela bardzo ognistą, jeśli dziś choć smutne, ale prawdziwe rozmyślania przychodzą.

— O była, paniedzieju. W Monte Carlo rezydencyjka była, kobiet moc, dwór w żydowskich łapach, wszystko przeszło, sygnet i papierośnica zo stała. I paniedzieju nie bić to nas Polaków w skórę. Biłbym panie każdego, i pana, żebyśmy wiedzieli, co to jest ojcowizna.

— Tak... tak... ale trzeba to było z trzydzieści lat temu panu powiedzieć — ironicznie zauważył Cedro — i wtenczas w skórę pana tłuc.

— O paniedzieju! Wtenczas krew była ognista, szablicą przejechałbym takiego śmiałka, na dziesięć kroków na pistolety wyzwał.

— Toż i ja powinienem z panem zrobić — zaśmiał się Cedro.

— E... nie paniedzieju. Ja życzliwą, doświadczoną radę chcę tylko poddać. Dziś człek dopiero czuje, co powinien był w młodych latach zrobić, jak powinien o każdą piędź ojcowizny walczyć. Została mi się wprawdzie kawał ziemi, ale przysięgam, że jak wojna przejdzie, a Matka Boska Częstochowska pozwoli mi wojnę przeżyć, do końca żywota mego na ojcowiźnie pracować będę, abe każdy skrawek ziemi z chciwych łap wydobyć, aby szkoły we wsiach założyć, podnieść na duchu i ciele naród nasz, bo inaczej biada z nami. Tak mi dopomóż, Panie Boże Święty i Ty Matko Boska Częstochowska! Amen!

Zasapał się w zapale, sięgnął po manierkę, pociągnął spory łyk wina, a podając ją Cedrze, rzekł:

— Na pomyślność naszej sprawy paniedobrodzieju, abyśmy przysięgi dotrzymali. Na braterstwo i jedność!

Niechętnie wprawdzie pociągnął Cedro podaną manierkę, bo stary szlachciura początkowo zraził go swoją szorstką otwartością, jednakże ostatnie słowa rozproszyły nieufność, wytwarzającą się w duszy.

— Jak widzę — zauważył Chełmecki — gadaniem mojem rozproszyłem częściowo smutek. Gadajże wasan co dolega, bo na smutek jedyne lekarstwo: spowiedź przed przyjacielem.

— Otóż po kilkudniowym urlopie, który przepędziłem w Krakowie, miałem pojechać do szwadronu Beliny. Jednakże nigdzie dowiedzieć się nie mogę, gdzie Belina obraca się z szwadronem. Chciałem przyłączyć się do oddziału kapitana Satyra, ten jednakże nie chciał mnie przyjąć. Błądzę więc już kilka dni, chcąc się coś dowiedzieć, dopiero teraz Sosnowski na ślepo zdąża w kierunku Iwangrodu, może tam znajdziemy Belinę. Martwi mię to bardzo, gdyż chciałbym na czas stanąć do szwadronu, nie tracić czasu na próżno, choć i tak bardzo dużo się spóźniłem. Wątpię, czy dostanę się z powrotem do Beliny, a nie chciałbym służyć w innym oddziale. Przeszło się początkową kampanię, zżyło się z kolegami broni, to przecież smutno odłączać się teraz od nich.

— Aha... — wtrącił pospiesznie Chełmecki — to obywatel paniedzieju od Beliny. Tak i ja tam chciałem się dostać. Możeby, paniedzieju, dało się co zrobić?

— Jak tylko dotrzemy, to się da.

— Słowo, paniedzieju.

— Szlacheckie słowo.

Splotły się silne dłonie w serdecznym uścisku, przyjaźń zapanowała szczera.

— Bo ja, paniedzieju, koniecznie chciałbym służyć u Beliny. To zaszczyt być w oddziale Beliny.

— To prawda.

— A, panie drogi, na pierwszej lepszej kwaterze urzniemy się jak bele, tylko może asan opowie mi coś o Belinie. Bardzom ciekawy, jak wygląda.

Szarpnął nerwowo czerwonym rabatem, rozpiął kożuszek ułański, podbity czerwonem suknem, z za koszuli wydostała się wielka skórzana torba, którą pospiesznie za pazuchę wsunął.

— Cóż tam obywatel ma w tej torbie — Cedro zapytał.

— A to, paniedzieju, troszeczkę monety na wypadek czegoś niespodziewanego. Tylko z tem kłopot mam, bo torba duża, każdemu w oczy wpada, więc muszę kłamać, że to poświęcane medaliki, żeby się jaka chytra i chciwa dusza nie złakomiła na resztki mojej ojcowizny. Ale panu, panie kolego obywatelu, prawdę świętą mówię, jak na spowiedzi, bo zaufania jesteś godzien asan.

— Toć to sporo tych medalików poświęcanych.

— A jest tam trochę... na czarną godzinę schowanych. No, paniedzieju, powiem prawdę, choć tem chcę się przysłużyć Ojczyźnie za zmarnowaną ojcowiznę, że za resztki mojej fortunki chcę zakupić kilka koni do szwadronu, bo wiem, że o konie ciężko. A teraz, paniedzieju, jak tam wygląda Belina.

— Belina — rozpoczął Cedro — stary mój znajomy ze związku strzeleckiego, już wówczas tak działalnością, jak i wyglądem zwracał powszechną uwagę. Nie można jednak było wówczas sądzić, patrząc na niego, że wyrobi się z niego tak żelazna postać żołnierza polskiego, wspaniałego dowódcy, nieustraszonego w czynach wojownika. Dość wysoka postać, szczupła, w energicznych gestach, o twarzy męskiej, śniadej cerze, z palącemi się oczyma. Widząc go na koniu w rozpiętym kożuchu, zarzuconym na ramiona, ma się wrażenie, że to jeden z lotnych dragonów Wołodyjowskiego, który błyskawicznie wpada w środek nieprzyjaciół, siekąc na prawo i lewo, toruje sobie drogę i niespodziewanie ginie im z przed oczu. Oprócz wszystkich zalet urodzonego dowódcy ma on w sobie serdeczną miłość dla żołnierzy, za którą w ogień, w piekło gotowi iść za nim. Pozna go obywatel, już miłować go musi za te wszystkie jego przymioty, choć tam u niego żelazna dyscyplina, żołnierska surowość. Koło niego skupili się tacy oficerowie, jak Janusz, Orlicz, Felsztyński, Grzmot. którzy, rzekłbym, w niczem nie ustępują wodzowi swemu, idąc jego śladami.

— Krew mi goreje, paniedzieju, gdy to słyszę. I, paniedzieju, za wszelką cenę muszę się tam dostać.

— Czy tylko się tam dostaniemy?

— A czemóż to?

— Sosnowski za mało ma w sobie energii i sprytu, aby nas doprowadzić do Beliny.

— To, paniedzieju, prawda. To dzieciak istny, nie żołnierz. Ja choć stary i świeży rekrut, lepiejbym poprowadził.

— Dlatego ja na własną rękę będę się starał dotrzeć. Gdy tylko dojedziemy do Radomia, a Beliny tam nie będzie, na własną rękę jadę. A pan, panie obywatelu?

— Zgoda! Jedziem, paniedzieju!

Po kilkudniowej tułaczce dociągnął oddziałek Sosnowskiego do Radomia. Radom zajęty był przez wojska niemieckie z jen. Hindenburgiem na czele, który lada chwila miał odmaszerować pod Warszawę, pozostawiając w operacyi pod Iwangrodem armię jenerała Dankla. Tam też walczyła armia Piłsudzkiego.

Nie było tutaj Beliny. Cedro i Chełmecki choć ze smutkiem, wyrzec się musieli zamiaru dotarcia do szwadronu. Komenda placu, na własne ich żądanie, przeznaczyła ich do wózków amunicyjnych, dowożących amunicyę pod Iwangród pod komendą porucznika Grota, a połączonych z trenem porucznika Klemensiewicza.

Brzęczały szyby w oknach domostw Radomia od huku armat toczącego się boju pod Iwangrodem, ludność tamtejsza poukrywała się po mieszkaniach, przez miasto przeciągały grupy jeńców, prowadzone przez Legionistów, lub też przez armię sprzymierzoną. Na twarzach mieszkańców znać było trwogę i wyczekiwanie. Już i rannych Legionistów poczęto z pola walki transportować, tamże raniony został ciężko porucznik Karasiewicz, kapitan Żymirski, porucznik Zosik i cały szereg żołnierzy. Legioniści walczyli zaciekle, szczególną brawurą odznaczył się batalion Smigłego, a sam sztab Piłsudzkiego znalazł się w ogniu pocisków armatnich i wraz z Piłsudzkim z punktu obserwacyjnego musiał się przenieść.

Na kwaterze porucznika Klemensiewicza, pomimo niepewnej decyzyi walki, nastrój panował bajeczny. Sam Klemensiewicz, dodając ducha i otuchy otaczającym go oficerom i żołnierzom, nieustannie dowcipne zdania wygłaszał, rozwesalając wszystkich. Wieczorem wśród huku armat fortepian niezmordowanie pracował, tęskne słowa i melodya pieśni polskiej zlewały się z hukiem armat.

Grupa oficerów przyłączyła się do nich, rozpowiadając ciekawe wieści. Z rozmowy skorzystał Chełmecki i wkrótce przyczepiwszy się do jakiegoś oficera austryackiego, Polaka, ustawicznie mordował go, aby sprzedał konia, który się bardzo spodobał Chełmeckiemu.

— Panie drogi, konia tego nie sprzedam! To mój ulubiony koń, ocalił mi życie rączym swym biegiem.

— Dam tysiąc rubli gotówką?

— Nie, panie, ani dwa.

— Dam tysiącdwieście rubli?

— Ani dwa tysiące! Ani trzy!

— Panie oficerze! — wtrącił przysłuchujący się rozmowie Cedro — Pan Chełmecki ma coś, co dla pana będzie miało bardzo wielką wartość.

— Cóż to takiego?

— Stara, z kutego złota, papierośnica.

— E... — odparł niechętnie Chełmecki. — To rodzinna rzecz, dla pana nie ma wartości.

— Pokaż pan, zobaczę.

Chełmecki wydobył papierośnicę, otarł ją rękawem, podał zachwyconemu porucznikowi.

— Śliczna rzecz! Cacko! Panie, robimy interes?

Zasępiło się oblicze Chełmeckiego, przez chwilę się zawahał.

— Pan — zaśmiał się oficer — chciałby mieć i konia i papierośnicę.

— Stara, jedyna spuścizna, pamiątka... droga sercu, ale pal licho... Niech idzie na ołtarz Ojczyzny!

Obejrzał ją jeszcze raz, potarł nerwowo siwiejącą głowę i ugoda została zawarta.

Porucznik Klemensiewicz, siedząc przy stole, bacznie wczytywał się w rozkazy, przyniesione mu przez ordynansa.

— Cedro i obywatel Józef! — zawołał po chwili.

Wymienieni stanęli przed Klemensiewiczem, czekając na dalsze rozkazy.

— Brak koni daje się dotkliwie odczuwać. W tej chwili doniesiono mi, że w Górach Świętokrzyskich są konie i należy je zarekwirować. Udacie się natychmiast konno i przeprowadzicie rekwirunek.

— Według rozkazu!

— — — — — — — — — — —

Wczesnym rankiem ruszyli w drogę, ostro podciąwszy konie ostrogami, gdyż długa i nużąca czekała ich podróż. Ośmdziesiąt sześć wiorst należało w jak najkrótszym czasie przebyć i ruszyć z powrotem.

W drodze doszły ich słuchy, że pod Iwangrodem nie zbyt dobra sytuacya się wytworzyła i spodziewany jest odwrót. To samo dotyczyło armii Hindenburga operującej pod Warszawą.

Zmartwieni chcieli jak najprędzej, nie żałując koni, dotrzeć do Świętokrzyskich gór, by spełnić wydany rozkaz. Gęsto rozsiane patrole niemieckie spotykali po drodze, a tuż przy Świętokrzyskich górach zatrzymała ich placówka niemiecka, wypytując się dokąd i poco jadą, zwróciła im uwagę, że tysiąc pięćset dragonów rosyjskich w lasach świętokrzyskich już operuje. Oficer niemiecki rozkazał im dać karabiny niemieckie, gdyż oprócz szabel i rewolwerów nie mieli innego uzbrojenia, żołnierze zaś niemieccy obficie zaopatrzyli ich w amunicyę. Pomimo, że oficer nie chciał puścić ich nocą w Świętokrzyskie góry, żwawo sunęli dalej, robiąc jeszcze pięć wiorst.

Zmęczenie przemogło, konie także już z trudem szły, postanowili odpocząć we wsi, otoczonej dokoła lasami, położonej w dolinie. Wieś cała otoczona była zasiekami i rowami strzeleckiemi, które podczas ostatniej walki Moskale zostawili.

Wjechali wreszcie do wsi i zatrzymali się przed chałupą wójta. Na głośne wołanie pojawił się gospodarz.

— Czy jest spanie i jedzenie?

— Może się znajdzie!

— Musi się znaleźć! Pieniądze zaraz otrzymacie.

Długa chwila upłynęła zanim wójt powrócił i okazało się, że wszystko było pod ręką. Chłop, przyzwyczajony do rekwizycyi, nie chciał się przyznać, że coskolwiek posiada, dopiero widok pieniędzy dodatnio wpłynął na niego. Wygląd chłopa, błyskotliwe jego spojrzenia zbudziły podejrzenia i nienfność w ułanach, tymbardziej, że wiedzieli, iż jest pełno dragonów rosyjskich w lasach, chociaż nie było wiadomem rosyjskim dragonom o ich tutaj pobycie.

Weszli do ciemnej izby, z łóżek podnieśli się ciekawi.

— W tej chwili proszę się przenieść do innej izby. Proszę nas tu samych pozostawić.

Wynieśli się z izby, gospodyni przyniosła kilkanaście ugotowanych jajek, kawał chleba, po posileniu udali się natychmiast na spoczynek. Józef ciężko legł na łóżku, natychmiast zasypiając, mimo zapewnień i poprzedniej umowy, że czuwać będą wzajemnie. Cedro czuwał nieustannie. Szumiący las zdawał mu się być tętentem koni nieprzyjacielskich, wsłuchiwać się począł w szmer, w lada jaki podmuch wiatru, bojąc się, by chłop nie sprowadził Moskali. Długą chwilę przyczajony przy oknie przesiedział, wreszcie zdecydował się położyć do łóżka, aby znużone ciało wyprostować. Karabin nabity obok siebie położył, przy łóżku wyciągnięta szablica, sznur zwisający od rewolweru silnie okręcił koło dłoni, gotowym będąc do rozpaczliwej walki, byleby tylko żywcem nie dać się wziąć do niewoli.

Stuknęły silnie okiennice.

— Co tam? — groźnie krzyknął — kto tam?

— A to ja, panie! — chłopski głos mu odpowiedział — okiennicę zawieram.

— Jedno okno otwarte zostawić, resztę zamknąć.

Chłop pospiesznie wykonał rozkaz, poczem odszedł do izby. Cedro położył się do łóżka, a silnie podejrzywając chłopa o zdradę, postanowił czuwać.

Przeszła jedna i druga godzina. Koło północy ktoś gwałtownie stuknął we drzwi, skubel się poruszył.

— Stój! Kto tam?!

Cisza głucha zaległa w chacie.

— Stój! Bo strzelam!

— To ja, panie! — gospodyni głos dał się słyszeć — przyniosłam koc dla panów, bo to zimno bez przykrycia leżeć.

— Teraz o północy?

— Teraz se przypomniałam.

Nakrył się podanym kocem, rozmyśliwać począł nad gospodarzem, nieufność coraz większa w duszy zasiadła.

— — — — — — — — — — —

— Panie wojak! Wstawaj pan! Już po ósmej, o siódmej kazał się pan budzić.

Zerwał się z posłania Cedro, w jednej chwili uprzytomnił sobie swoją nocną obawę, spojrzał na owiniętą dłoń sznurkiem od rewolweru, na twarz chłopa i mimowoli roześmiał się w duszy:

— Hm... posądzałem go o zdradę!

W parę minut później w najlepszej zgodzie rozstali się z gospodarzem domu, obdarzając go sowicie.

Rekwirunek okazał się niewykonalnym. Krążące dokoła patrole kozackie zmusiły ich do wycofania się z Świętokrzyskich Gór.

Z pod Iwangrodu cofały się tymczasem wojska, obydwaj więc ułani dotarli do Kielc, przyłączając się do oddziału Klemensiewicza, by z nim cofnąć się do Krakowa.

STANISŁAW SŁAWIECKI.

ŚMIERĆ SIEROTY.

FRAGMENT.

...Zamilkły ostatnie odgłosy bitewnej wrzawy.

— — — — — — — — — —

Lekki wiatr szum drzew niósł z dali, kołysał zieleń traw, do ucha szeptał wiośniany śpiew...

Pachniało polne kwiecie, uśmiechał się błękit nieba... Zaszumiało kwiatów pole, zaszeptało...

Nie żal ci życia, chłopcze młody?... Nie żal ci zielonych pól, wiosny cię nie nęci czar?

Czy ty słyszysz, jak bór szumi, czy ty słyszysz szmer strumieni?

Patrz, jak rosa drży wśrod kwiecia, barwną tęczą nęci oko, jak się śmieje świat wokoło; patrz, jak wszystko pokraśniało od wschodzących zórz promieni...

Życie woła!...

Ani głową ruszył młodą, ani oczu nie otwierał... Pierś się tylko poruszała, ostatnie wydając tchnienia, a na ustach uśmiech osiadł zagadkowy.

Życie woła.. do radości?... szczęściem się do mnie uśmiecha? Ej, zamilczcie polne szepty — nie dla mnie radość życia, nie dla mnie szczęścia śmiech. Cicha śmierć wśrd traw zieleni, to jedyna radość ma, więcej szczęścia... to nie dla mnie!

...U dziecięcej mej główki smutek pieśń zawodził, a młodości tęskne lata... wspominać mi szkoda!

Orle śniły mi się skrzydła, szczęście, sława... przeminęła moja młodość, przeminęły sny młodzieńcze, a została pustka, jeno... pustka w duszy, w sercu pustka...

Wkoło pusto, szaro, smutno... świat mi przybladł i spochmurniał...

Cichy, lekki wiatr zaszumiał, polną wonią go otoczył, traw zielenią pieścił skronie...

Rozmodlone w ciszy pola, w jego skargę się wsłuchały, żalem drżały drzewa liście...

W dali, strumień szloch swój tłumiąc, wśród kamieni sączył wody... nasłuchiwał, pytał szemrząc, lecz daremnie...

Ledwie życiem wargi drżały, ledwie, ledwie serce biło.

Zaszumiało kwiatów pole, zaszeptało...

„Nie żal ci życia, chłopcze młody... nie rwie cię do życia tęsknota?...

Nie żal ci słońca, nie żal ci młodości... niczego? Nic nie zostawiasz... nikt po tobie nie zapłacze, nikt za tobą nie zatęskni?...

Słyszysz życia pieśń poranną, ptactwa świergot... dziewcząt śpiewy...

Może ktoś z nich za tobą myślą goni, może oczy wypłakuje i czeka cię, czeka...

Ojciec, matka, siostry, bracia“...

Dwie łzy wielkie, kryształowe w oczach mu zabłysły.. migotają, drżą i płoną...

„Nie — szeptają blade wargi — nikogo nie miałem! Ani ojca, ani matki, ani sióstr, ni braci... nikt mi w życiu serca nie dał, ni dobrego słowa...

Słońce rankiem smutek niosło, księżyc żal, tęsknotę; ani wiosna, ani zima... ani letnia noc pieściwa...

Czego pragnąć?... Za czem tęsknić?... Cicha śmierć wśród traw zieleni, to jedyna radość moja“...

Nic więc z życia nie unosisz...

„...W piersi mojej, krwią zalanej... stal przysiadła głucha... ona ze mną“...

Zamilkły pola na chwilę, oniemiały...

Lekki, ranny powiał wiatr, kwietnym go zasypał puchem i ze zbladłych ust żołnierza ostatnie uniósł tchnienie, w dal...

Z za kordonu.

Mało mamy dotychczas wiadomości o tem, co się dzieje w Królestwie Polskiem, na terenie, zajętym jeszcze przez wojska rosyjskie. Od czasu do czasu tylko drogą okólną dochodzą miejscowe dzienniki, z których dowiadujemy się o życiu naszych braci za kordonem walczących armii. Obecnie udało nam się zdobyć numer warszawskiego *Tygodnika Illustrowanego*, z którego reprodukujemy szereg fotografii, mogących bardzo zainteresować naszych Czytelników.

Między innemi widzimy tam wojskową misyę belgijską, która przez pewien czas bawiła w Warszawie, przed pałacem w Wilanowie, dalej grupę polskich ochotników we Francyi i wreszcie oddział Polskiego Towarzystwa niesienia pomocy ofiarom wojny, udający się do Galicyi.

W sprawie organizacyi tej pomocy, z jaką pospieszyło Królestwo Polskie dla Galicyi (na zajętych przez wojska rosyjskie terenach), warszawski *Tygodnik Illustrowany* zamieszcza następujący artykuł:

„W sobotę dnia 24. kwietnia r. b. wyruszyły z Warszawy do Rozwadowa i Mielca w Galicyi pierwsze dwa oddziały sanitarno-żywnościowe, wyekwipowane przez oddział warszawski Polskiego Towarzystwa niesienia pomocy ofiarom wojny. Jest to początek wielkiego dzieła samopomocy narodowej, która stanowi nietylko jedno z najpoważniejszych zadań naszych w dziele miłosierdzia, związanego z wojną, ale będzie zarazem probierzem tej siły moralnej, która łączy Polaków, niezależnie od granic, przecinających naszą ojczyznę i od rozmiarów klęski, jakiej uległy poszczególne jej ziemie w przededniu materyalnego połączenia w jedną całość.



Z za kordonu: Oddziały sanitarno-żywnościowe warszawskiego Tow. niesienia pomocy ofiarom wojny w chwili wyjazdu do Galicyi. (Zdjęcie warszaw. „Tygod. Illustr". z dn. 1 maja).

Swiadomość wielkiego znaczenia i wielkich następstw tej akcyi, którą podejmuje pierwsza nasza ekspedycya ratunkowa dla Galicyi, powinna skupić nas jak najliczniej pod sztandarami instytucyi, posiadającej w mocy swojej ustawy możność rozszerzenia działalności poza obręb Królestwa Polskiego.

Oddział warszawski Polskiego Towarzystwa niesienia pomocy ofiarom wojny od chwili swego zawiązania poszedł w tym kierunku, w którym zajęty sprawami miejscowemi C. K. O. iść nie mógł.

Rozpoczęto od przesłania skromnych sum pieniężnych, początkowo na ręce prezydenta miasta Lwowa, dra Rutowskiego, a następnie na ręce lwowskiego Komitetu ratunkowego. Otrzymawszy jednak w ostatnich dniach pozwolenie władz rządowych lwowskich na szeroką działalność w kierunku sanitarno-żywnościowym, oraz w kierunku pomocy ludności przy uprawie i siewie, Oddział przystąpił natychmiast do zorganizowania pomocy czynnej w tym kierunku, a dzięki energii i dobrej woli jednostek, stojących na jego czele, projekt zrealizował się szybko.

Wybrano na początek dwa miasta: Rozwadów



Z za kordonu: Ochotnicy polscy w wojsku francuskiem (Zdjęcie warszaw. „Tygod Illustr " z dn. 1 maja).



Z życia Legionistów: Patrol telefoniczna I-go pułku, która wybudowała pierwszą linię telefoniczną Kraków-Kielce.



Z za kordonu: Wojskowa misya belgijska w Wilanowie. (Zdjęcie warszaw. „Tygod. Illustr." z dn. 1 maja).



Po pogromie Rosyan: Rosyjskie mieszkania podziemne podczas oblegania Przemyśla



Zawcześnie: Pocztówka z widokami Krakowa i z podpisami rosyjskimi, wydana przez Rosyan podczas ich inwazyi w Wieliczce

i Mielec. Oba położone w okolicy, zniszczonej przez wojnę doszczętnie. Niema tam obecnie ani lekarza, ani apteki, ludność zaś, jak stwierdzają zgodne relacye wszystkich — znajduje się w położeniu strasznem.

Wysłane oddziały ratunkowe będą udzielały przedewszystkiem pomocy lekarskiej pod kierunkiem dra Paciorkowskiej i dra Jeśmiana. Szczepienie ospy, dezynfekowanie zakażonych mieszkań i odzieży, czuwanie nad stanem sanitarnym miasteczka i okolicy, prowadzenie bezpłatnych herbaciarni — oto najważniejsze ich zadania.

Druga akcya, na jaką Towarzystwo otrzymało sankcyę władz rządowych, to pomoc pozbawionej sprzężaju ludności galicyjskiej przy siewie. Z góry należy powiedzieć z naciskiem, że jest już ostatnia chwila do rozpoczęcia tej akcyi, bo wiosna idzie, a każdy mórg uprawiony i zasiany to dziesiątki ludzi, uratowanych od głodu.

Wobec spóźnionej pory Towarzystwo pragnie spełnić swój obowiązek bodaj w małym zakresie, chce ogarnąć swą pomocą przynajmniej ten nieszczęsny zniszczony trójkąt w widłach Wisły i Sanu i dlatego kieruje całą swą pomoc w ziarnie i koniach do Rozwadowa.

Na skuteczne jednak wykonanie tych zamierzeń potrzebne są środki i od ich rozmiarów zależą rozmiary i skuteczność okazanej pomocy.

O tem nie może zapomnieć ani na chwilę żaden Polak, niezależnie od tego, gdzie i na jakiej placówce postawiły go losy w tym wielkim momencie dziejowym.

Jesteśmy jednym narodem — kończy *Tygodnik Illustrowany* — i przez samopomoc budujemy własną naszą przyszłość".

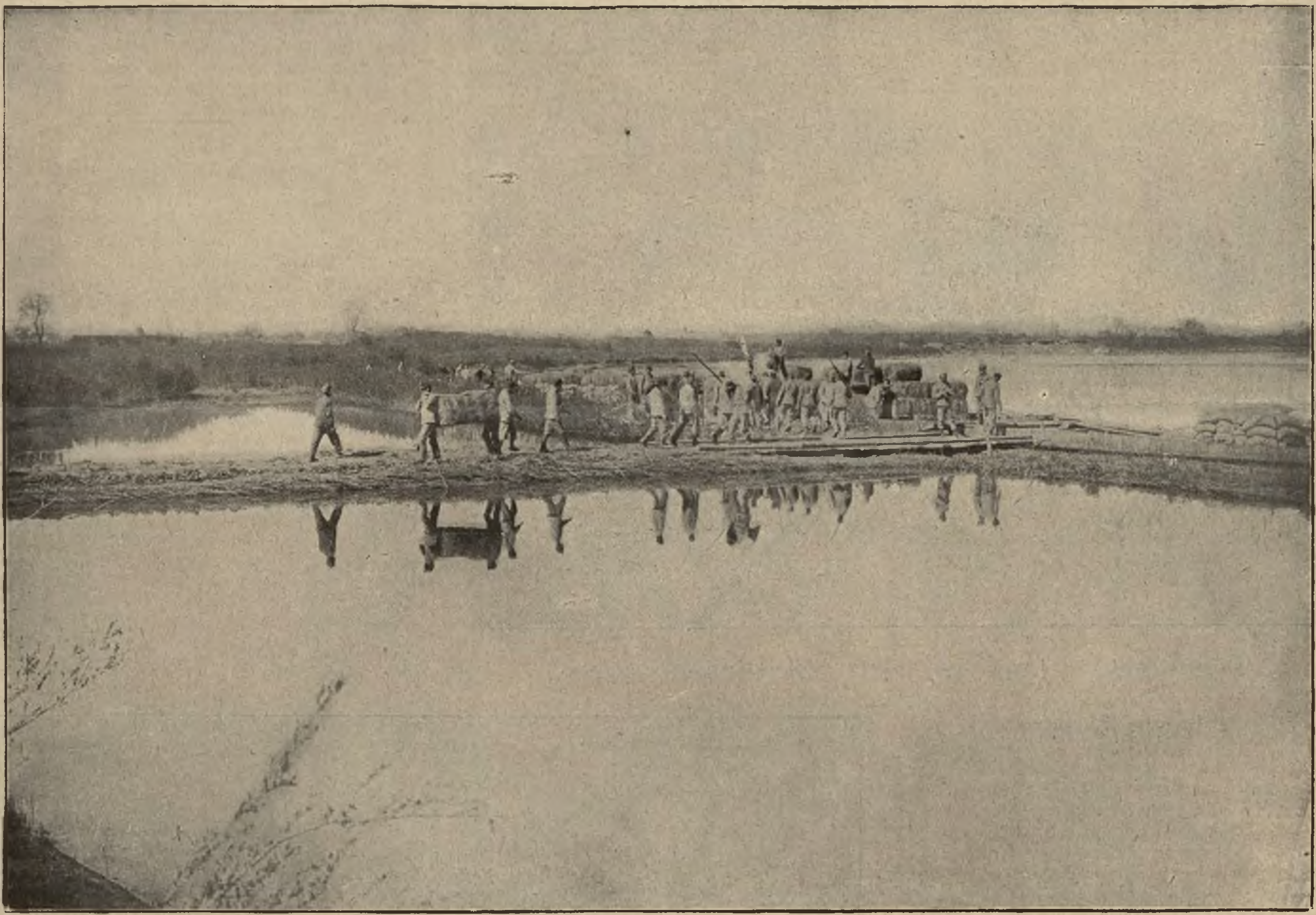
Zawcześnie.

Rosyjscy „oswobodziciele" Galicyi podczas swego najazdu bynajmniej nie próżnowali. Jeszcze nie zdołali się upewnić, czy wogóle potrafią utrzymać się na zajętych terytoryach naszego kraju, a już zabrali się do rusyfikowania Wschodniej Galicyi. Sprowadzona armia czynowników i popów z „iście rosyjską" furyą zabrała się do dzieła rusyfikacyi. Rychło okazało się wszakże, że ten zapał był co najmniej przedwczesny, bo po pogromie armii rosyjskiej i popi i czynownicy musieli spakować swe manatki i uchodzić szybko tam, skąd przyszli...

Jak intenzywnie i z jakim pośpiechem pracowali pionierzy „wolności" rosyjskiej, świadczy wymownie zamieszczona w dzisiejszym numerze pocztówka,



Potomkowie „Zaporożców" w Galicyi: Przegląd kozaków kubańskich w Dukli.



Na zajętym terenie: Wyładowywanie żywności z galarów na Wiśle dla armii austro-węgierskiej.

wydana przez Rosyan w Wieliczce podczas ich tam pobytu.

Jakkolwiek krótkotrwałe były zagony rosyjskie pod Kraków i skończyły się bardzo dla Rosyan niefortunnie, roili już oni nie na żarty o „oswobodzicielskiej" misyi nawet w Krakowie. Już zawczasu przygotowali też pocztówki z widokami Krakowa, a z rosyjskiemi podpisami. Przekonali się jednak rychło a bardzo dotkliwie, że się zbytnio pospieszyli.



Na zajętym terenie: Odbiór żywności dla armii austro-węgierskiej.



Na zajętym terenie: Wyładowywanie mąki z galarów na Wiśle dla armii austro-węgierskiej.

Na zajętym terenie.

Dzięki pomyślnym operacyom wojennym obu sprzymierzonych armii spora część Królestwa Polskiego znalazła się w ręku zwycięzców. Na zajętym terenie obaj sojusznicy rozgraniczyli sferę swych wpływów i rozpoczęli intenzywną pracę, aby w najkrótszym możliwie czasie naprawić to, co ucierpiało skutkiem pożogi wojennej.

W pierwszym więc rzędzie zajęto się poprawą dróg i mostów, rozpoczęto też regulacyę brzegów Wisły, zwłaszcza z lewej strony, rząd rosyjski bowiem bagatelizował sobie zawsze tę sprawę, gdy tymczasem na brzegu austryackim zajmowano się tem od lat wielu.

Dzięki tym zabiegom, przeprowadzonym sumiennie przez setki robotników pod okiem austryackich sił fachowych, uregulowano koryto Wisły i umożliwiono kursowanie po niej większych statków i galarów nawet podczas nizkiego stanu wody, co zwłaszcza w roku bieżącym dawało się bardzo we znaki.

Odtąd po modrych falach królowej rzek polskich kursują prócz rzecznych parowców i łodzi motorowych także i wielkie galary, na których przewozi się żywność i wszelkie zapotrzebowania dla naszej armii, operującej w polu.

Tego rodzaju komunikacya, wobec braku kolei i dróg bitych w nadgranicznym pasie Królestwa Polskiego, okazała się bardzo dogodną i odpowiadającą celowi, spodziewać się też należy, że po nastaniu normalnych stosunków Wisła stanie się jedną z najważniejszych arteryi komunikacyjnych w kraju.

Z życia Legionistów.

Zamieszczone w poprzednich numerach illustracye dają już dokładne pojęcie z życia Legionistów na terenie Królestwa Polskiego, gdzie przeniosła się komenda Legionu i pomocnicze instytucye. Wre tam gorączkowa praca organizacyjna, ale obok pracy konieczną jest także dobra i tania rozrywka, a tej dostarczają Legionistom zakładane przez komitety Pań herbaciarnie. W dzisiejszym numerze zamieszczamy właśnie dwa zdjęcia, przedstawiające wizytę komendanta Legionu, generała Durskiego, w herbaciarni w Piotrkowie i herbaciarnię w Radomsku.

Powstanie herbaciarni w Radomsku jest zasługą p. Bolesławskiej, która natychmiast zorganizowała komitet Pań, mający na celu dostarczanie Legionistom opieki i rozrywki.

Herbaciarnia w Radomsku otwartą została w lutym b. r. z jednorazowem dziennem urzędowaniem, od godziny 6 do 8 wieczorem. Dziennie idzie do 500 porcyi bezpłatnie wydawanych herbat z mlekiem lub winem, przyczem jest tani, obficie zaopatrzony bufet. Kromka chleba z masłem kosztuje 10 halerzy, sucharki, ciastka, wszystko po cenach

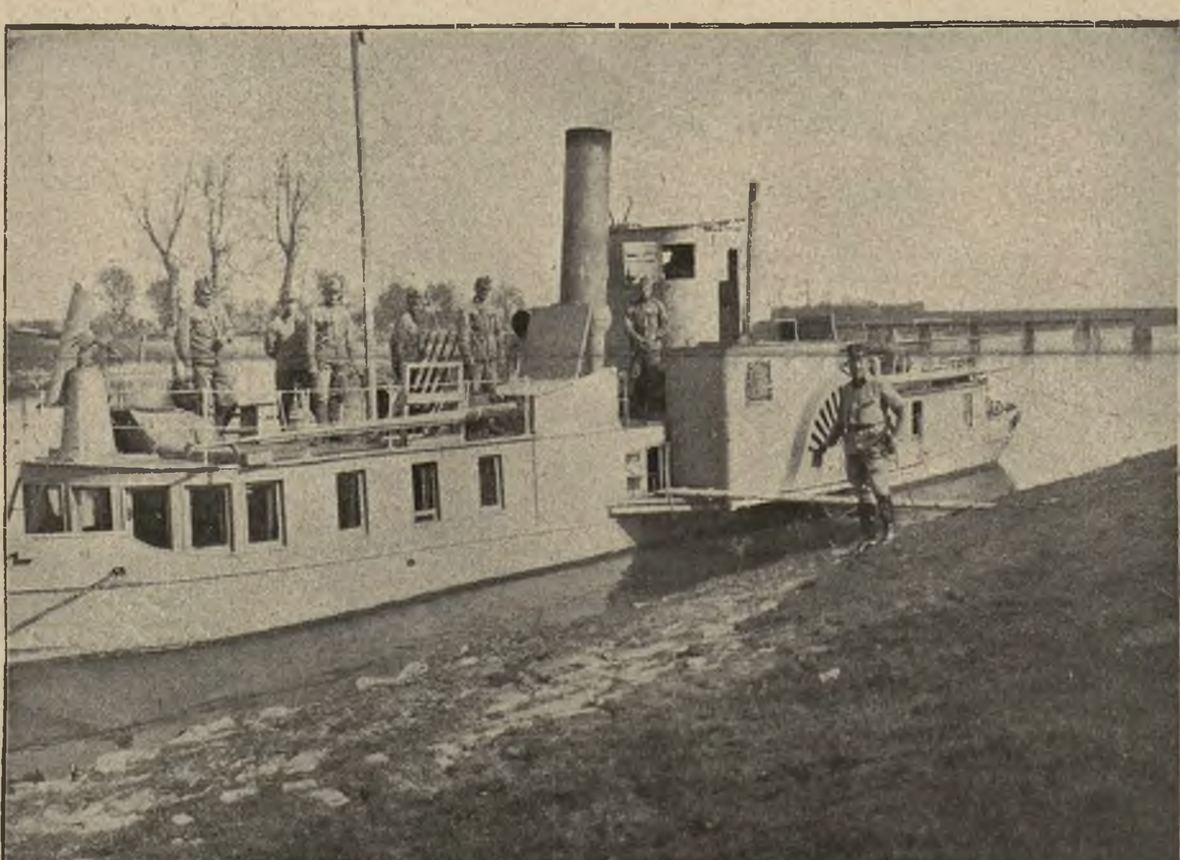


Z życia Legionistów: Eksc. Durski i oficerowie sztabowi w bezpłatnej herbaciarni w Piotrkowie.

kosztu sprzedaje komitet Pań, aby jak najszersze grono Legionistów do siebie ściągnąć.

Lokal bezpłatnie odstąpiła Resursa urzędnicza.

Pani Bolesławska znaną jest wszystkim Legionistom ze swej działalności, dość wspomnieć pierwszą herbaciarnię bezpłatną w Jabłonkowie, która dzięki jej wysiłkom powstała i znakomicie prosperowała. Tak samo i dzisiejsza herbaciarnia, pod sprężystą jej dłonią, wzorowo jest prowadzoną.



Na zajętym terenie: Austryacki statek pancerny z flagą wojenną na Wiśle. Obok inż. Artur Bromowicz z Krakowa.

Potomkowie „Zaporożców" w Galicyi.

W armii rosyjskiej wielką rolę odgrywają kozacy. W sprawozdaniach z teatru wojny ciągle się też czyta o kozakach, którzy zwykle pierwsi zjawiają się w kraju nieprzyjacielskim — szerząc pożogę i rabunki...

Obecna organizacya kozaków w Rosyi ma niewiele wspólnego z dawną kozaczyzną. Stanowią oni osobny stan, który jest obowiązany w oznaczonych terminach, tudzież na zawołanie wystawić pewną liczbę jeźdźców. Muszą oni służyć wojskowo od 18 roku życia przez lat 20, z tego we froncie lat 12, a za to są wolni od podatków. Kozacy dzielą się na rozmaite grupy według pochodzenia, są więc kozacy dońscy, uralscy, orenburscy i t. d. Prawdziwymi jednak potomkami siczowników zaporozkich są kozacy kubańscy, których powszechnie nazywają Czerkiesami, gdyż przyjęli strój czerkieski. Gdy w roku 1775 Katarzyna zniosła Sicz zaporozką —

część siczowników przesiedlono nad rzekę Kubań na Kaukazie i to było początkiem organizacyi kozaków kubańskich, którzy najbardziej zaprawili się w bojach, walcząc ciągle z ludami kaukazkimi.

W obecnej wojnie, według sprawozdań z terenu walki, kozacy kubańscy, ci potomkowie dawnych Zaporożców, odznaczają się największą dzikością i są postrachem dla cywilnej ludności... A nie brakło ich i w Galicyi podczas inwazyi rosyjskiej. W dzisiejszym numerze zamieszczamy ciekawe zdjęcie z pobytu Rosyan w okolicach Dukli. Jest to właśnie przegląd kozaków kubańskich, którzy tam w znacznej liczbie przebywali.



Z życia Legionistów. Komitet Pań w herbaciarni Legionów w Radomsku. (X) Organizatorka p. Bolesławska.

Ostatnie posiedzenie Rady miasta Podgórza.

Z niem 1 lipca b. r. Podgórze zostanie faktycznie przyłączone do Krakowa, z którym odtąd dzielić będzie wspólne losy jako nowa jego dzielnica. Z tą



Po pogromie Rosyan: Charakterystyczne typy jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli w ostatnich walkach w Galicyi.

chwilą i podgórska Rada miejska przestanie istnieć jako samodzielna jednostka administracyjna, ale nad interesami tej dzielnicy, aż do przeprowadzenia wyborów z Podgórza do krakowskiej Rady miejskiej, czuwać będzie specyalna rada przyboczna, złożona z dwunastu członków, a wybrana z łona Rady pod górskiej, z burmistrzem p. Maryewskim na czele.

Wyboru tego dokonano w dniu 7. b. m. na ostatniem posiedzeniu podgórskiej Rady miejskiej. Miało ono charakter bardzo uroczysty. Na początku burmistrz Maryewski wspomniał o zwycięstwach w Galicyi i wypędzeniu z kraju nieprzyjaciela, poczem wzniósł okrzyk na cześć cesarza, powtórzony trzykrotnie przez radnych.

Z porządku dziennego asesor, dyr. Rolle, przedstawił zamknięcia rachunkowe funduszów i zakładów gminnych, a sprawozdanie to przyjęła Rada bez dyskusyi, poczem przystąpiono do wyboru Rady przybocznej, do której, prócz burmistrza Maryewskiego jako przewodniczącego, weszli pp.: dyr. Karol Rolle, Bernard Liban, Karol Łuczko, dr. Edward Ferber, dr. S. Aronsohn, dr. Emilewicz, Staszczak, dr. J. Aronsohn, dr. Emil Bobrowski, Władysław Liban, Breuer i Michalik.

Przy końcu posiedzenia podniósł burmistrz p. Maryewski zasługi dotychczasowej Rady miasta Podgórza i jej poprzedniczek około rozwoju miasta, podziękował radnym za współdziałanie w obywatelskiej pracy i wyraził nadzieję i życzenie, aby miasto w nowych warunkach rozwijało się i kwitło dla wspólnego dobra jego mieszkańców, aby dzielnica podgórska była wzorem dla innych.

Po przemówieniu burmistrza p. Maryewskiego zabrał jeszcze głos radny dr. Bobrowski, który poświęcił gorące wspomnienie poległym Legionistom i żołnierzom regularnej armii, pochodzącym z Podgórza, którzy poszli w bój z wiarą, że w tej zawierusze wojennej także i dla Polski wywalczą lepszą przyszłość i postawił wniosek o urządzenie składki na rzecz chorych Legionistów i na rzecz wdów i sierot po poległych Legionistach.

Po skończeniu składki, która przyniosła kilkaset koron, burmistrz Maryewski zamknął to ostatnie posiedzenie Rady miasta Podgórza.



Ostatnie posiedzenie Rady miasta Podgórza: Grupa członków podgórskiej Rady miejskiej z burmistrzem p. Maryewskim w pośrodku.

Marya S...

Co było...

3

Dopieroż otworzą gęby na takie trofea z tej wsi zapadłej i to z pobytu pod troskliwą opieką stryja proboszcza. Nudny wprawdzie, lecz siedzi na pieniądzach.

Ha, trzeba się poświęcić, bo inaczej furda z uniwersytetu i kawiarń, a raczej z kawiarń i uniwersytetu. Zresztą, ktoby na nudne wykłady chodził? Chyba jaki kujon, cep ze wsi. Ja nie głupi. Jeszcze ten rok i już cywil. Byczo! Księgi do sklepu, kurzyć papierosy w biały dzień pod nos belfrom.

Tymczasem Bolka, nie domyślając się, że jest przedmiotem rozmyślań „białego Władka", ani wiedząc o proponowanym zamachu na swe usta, zapomniawszy zostawić lok swoich włosów (fotografii nie miała ze sobą), opuściła Zapadłe, chroniąc się przed wszechwładną panią nudą i obawiając się o całość swoich szczęk od ustawicznego ziewania.

Trudno. Co robić w Zapadłem, gdy deszcz pada? Więc opuściła Zapadłe.

O nieszczęśliwy młodzieńcze! Co za los nieszczęśliwy prześladuje cię?! Bez trofeów powrócisz?!

Ha! Trzeba blagować!

Gdyby z tego zdawano maturę, wszyscy, jak jeden mąż, zdobylibyście dyplom.

Lecz belfry każą kuć. Zapomnieli te czasy, gdy sami woleli, zamiast siedzieć nad greką, urządzać „fensterpromenad".

— — — — — — — — — — — —

— Dobranoc! Przyjemnych marzeń, tylko nie o tym błaźnie.

— Ależ, co mówisz! Nie miałabym też o kim myśleć, tylko o nim — i ponsowe usta Bolki wydymają się pogardliwie.

— Więc naprawdę zapomniałaś? Nie kochasz go?

— Też przypuszczenie. Zdaje mi się, że twoja domyślność znikła przez wakacye. Pewnie serduszko zajęte. Ale czy ja go kochałam? — szepnęła.

— Rzeczywiście i ja sobie inaczej miłość wyobrażałam. Rodziewiczówna w „Jerychonce" pisze, że miłość to szczyt lub przepaść. Wogóle tyle naczytałam się sprzecznych z sobą zdań o miłości, ale to, co było między wami, miłością nie było.

— Więc czem? — powtórzyła Bolka.

— Czy ja wiem? — szepnęła z zakłopotaniem Ewa, nie umiejąc odpowiedzieć na natarczywe słowa przyjaciółki.

— Wiesz co? Co było, to było, przeszło, minęło, nie powróci. Zapomnij. A teraz idź spać. Ja muszę iść. A jako przestrogę przypominam ci, że masz aerosomę, światło astralne, ciało subtelne, fluidyczne i t. d., a zwane powszechnie ciało astralne. Dowiedziałaś się o tem z „Magii piękności" Jankowskiego. Więc sobie przypominasz, ze każda zmarszczka, tworząca się na formie tego ciała, przyspiesza starość. A wiesz, co żłobi zmarszczki? Gniew, przykrość. A on nie wart tego. A śnij o innym, tylko już nie o żadnym właścicielu czarnych oczu. Przeciwnie, wymarzony ma mieć duże oczy o kolorze włoskiego nieba. Bo duże, niebieskie oczy mają marzyciele. Wtenczas oboje, marząc o niebieskich migdałach, nie rozczarujecie się co do siebie. No, po radzie zmykam. Pa!

— Dziękuję! dziękuję! — wołała ze śmiechem.

Zaledwie drzwi się zamkły, Bolka umilkła, chwilę wstrzymywała się. Wreszcie, tracąc panowanie nad sobą, rzuciła się na kanapkę i kryjąc drobną twarzyczkę w dłoniach, wybuchła spazmatycznym płaczem.

Po półgodzinnym płaczu ból minął, została gorycz. Spojrzała do lustra.

Powieki czerwone od płaczu, na jutro podpuchną, spotka Melkę, która domyśliwszy się prawdy, roznięsie wśród koleżanek wieść, że jej strasznie Bolki żal, kocha się w Kaziku, tymczasem on szaleje za nią, cóż winna biedna Bolka.

Ha! ha! ha! Dopierożby on tryumfował!

On całe wakacye latał za Melką, a Bolka tęskniła, teraz jest pogrążoną w strasznej rozpaczy. Żal mu jej. Lecz czego taka naiwna?

— Podły, podły — szeptała — Nie, tego nie daruje — i oczy zabłysły jej.

Na myśl o słowach Melki krew napływała jej do twarzy.

Melka wiedziała, że Kazik był już drugi rok jej chłopcem. A może to przez opiekuna?

Może on go obraził?

I znowu łzy napływają jej do oczu. Boże, Boże, jaka ona nieszczęśliwa!

Ale, czy ona sama?

Nie! Wprawdzie kilka razy w pierwszych dniach, gdyż później znudził jej się, odpowiadała spojrzeniami na powłóczyste spojrzenia ósmaka. Przyjmowała kwiaty, książki, wiersze.

Dziękowała za nie uśmiechem.

Lecz oprócz Kazika nikt nie zajmował jej myśli. A nawet... ha, ha, ha... tęskniła, gdy się zabawiał. Ze przyjmowała hołdy „białego Władka", nic dziwnego w takiej pustelni.

Zresztą, któraż z dziewcząt, nawet zakochana, nie cieszy się hołdami chłopców, i niema pobożnego życzenia pozawracać głowy ilu tylko się da?

Tyś tęskniła! Tak, przyznaj się, przyznaj. A on? Ewa mówi: błazen!

Gniew unosił ją, nerwowymi krokami mierzyła pokój. Wtem jakaś myśl błysnęła jej.

Przyskoczyła do biurka. Drżącemi rękami wyjęła paczkę listów i kartek. Popatrzała na nie z dziwnym uśmiechem, oczy zaszkliły się łzami, sama, nie wiedząc, co robi, zbielałemi wargami całowała lila papier.

Wtem opamiętała się.

Co robi? Całuje listy od niego?

Nie, nie będzie ich więcej widziała.

Za chwilę papiery obejmuje w swój uścisk gorący płomień.

Pamiątki goreją... Za chwilę z wyznań miłosnych garstka popiołu.

Przypomina sobie wszystko... od początku.

Zdejmuje ją śmiech pusty.

Czegóż właściwie rozpaczała, płakała.

Farsa.

On pewnie sądzi, że jest pogrążona w czarnej melancholii.

Ha, ha, ha!... Czy on znowu taki przystojny?

Szuka chwilę w szufladkach biurka, wreszcie wyciąga fotografię jego, ofiarowaną w chwili, gdy na stacyi oczekiwała na przyjście pociągu.

Ze przystojny, trzeba przyznać. Nic więc dziwnego, że zmienny.

Wtem przypomniała sobie wierszyk jeszcze ze szkolnych czasów. Jak to dawno temu!

Kochaj i zapomnij,
Bo na pocieszenie
Niestałość Bóg zesłał na ziemię.

Pamięta, jak oburzała się na ten wiersz. Jak można miłość traktować tak lekko.

Gdy się kocha, to raz tylko, raz.

Jakże naiwną była. Wierzyła w to, broniła zacięcie swego zdania.

A Ewa, uśmiechając się, drwiąco powiedziała:

— Nie uwierzysz, aż zmierzysz.

Nie, ona wierzy, że miłość może być jedna tylko, jedna, raz można kochać.

To, co było, to nie miłość. Stanowczo nie. To była sympatya.

Sympatya? Czy Jurek nie posiadał twojej sympatyi, a Józio?

Przecież lubiłaś ich. A Stach?

A przecież za żadnym z nich nie tęskniłaś. Z żadnym nie miałaś rendez vous. Żaden nie całował cię po rękach.

Na wspomnienie tych pocałunków czerwienieje.

Nikt o tem nie wie, nikt. Nawet Ewie nie przyznała się.

Dlaczego?

Palił ją wstyd, lecz czuła dreszcz rozkoszy.

Jaki był cudny wtenczas! A te pocałunki? Nie, o nich nigdy nie zapomni. A on był taki wzruszony.

Rozmarzała się, przypominając sobie tę chwilę krótką, a tak pamiętną.

Lecz, co minęło, nie wróci.

Nigdy.

Uczuła ból. Dlaczego nigdy nie wróci?

Dlaczego niepowrotnie minęło?

On może teraz całuje Melkę? — zazdrość opanowała jej serce.

— Przeminęło — szepnęła z rezygnacyą — Przeminęło, nie wróci.

Lecz, co to było? Nie miłość! Nie! Stanowczo nie. Więc cóż?

Było coś, minęło bezpowrotnie, zostawiło tylko wspomnienie rozkoszne i ból.

Co było?

KONIEC.

Opieka nad dziatwą w Krakowie.

Ochronka zawsze jest doniosłem dziełem miłosierdzia, a cóż dopiero teraz, gdy tyle dzieci pozbawionych ojców, a matki ciężkiej codziennej oddane pracy.



Ofiary wojny: S. p. Aleksander Paszkiewicz, c. i k. major 77 pułku piechoty z Sambora.

Zwłaszcza dzielnice podmiejskie, uboższe, absorbują matkom dzień cały w pracy na roli, a w szczególności na Nowej Wsi mieszka mnóstwo kobiet, zatrudnionych cały dzień w krakowskiej fabryce cygar. To też założenie ochronki w tej dzielnicy było sprawą palącą i odda nieocenione usługi tym, co najbardziej takiej pomocy potrzebują. Podnieść też należy z uznaniem ofiarność S. S. Miłosierdzia, które z poświęceniem bez granic przeszło stu dzieciom tej ochronki zastępują matki, wpajają zasady życia religijnego i obyczajowego dla dobra rodzin i całego społeczeństwa.



Z życia Legionistów: Ludność w Królestwie Polskiem przygląda się kulinarnym operacyom Legionistów.

Szkolnictwo w czasie wojny.

(Do illustracyi na str. 4).

Wobec konieczności wojny wszystko musi ustąpić na plan drugi. Obecna zawierucha wojenna musiała odbić się także i na szkolnictwie, które zostało pozbawione własnych lokalów, zajętych na szpitale i wielu sił nauczycielskich, powołanych na plac boju. Pomimo to kierownicy szkół nie opuścili bezradnie rąk, lecz czynią wszystko, aby pełnić swą szczytną misyę wychowywania i kształcenia przyszłych pokoleń. Szkoły pomieszczono w prywatnych lokalach, nie zawsze naturalnie odpowiednich i zgodnych z wymaganiami hygieny i pedagogii. Ale że i w tak ciężkich warunkach można wiele zdziałać, świadczy czwarte gimnazyum realne, które pomieszczono w prywatnym pałacu Wołodkowiczów przy ul. Lubicz.

Choć lokal sam nie jest w zupełności odpowiedni na szkołę, posiada jednak dużo światła i piękny ogród, zapewnia więc młodzieży zdrową rozrywkę na świeżem powietrzu.

Jedna z naszych illustracyi przedstawia właśnie uczniów gimnazyum IV. podczas pauzy w ogrodzie przed budynkiem szkolnym. Na drugiej illustracyi widzimy wpływ wojny na samą naukę: lekcyę łaciny w ósmej klasie. Profesor siedzi w małym pokoju przy wspólnym stole z kilku zaledwie uczniami, bo reszta poszła pod broń.



Opieka nad dziatwą w Krakowie: Ochronka na Nowej Wsi, pod opieką S. S. Miłosierdzia. W środku ks. Dihm, superyor Ks. Ks. Misyonarzy, przewodniczący miejscowego komitetu

Kronika tygodniowa.

Ponieważ mam już takie szczęście paskudne, iż, ilekroć zacznę pisać o pogodzie, trzeba być przygotowanym na deszcz, zwrócono się do mnie z kilku stron, bym zaczął pisać o gorącu, a może jakoś rtęć w termometrze spadnie, bo trudno już wytrzymać, zwłaszcza, że nie przyjął się jeszcze u nas zwyczaj chodzenia w takim kostyumie, jakiego używają mieszkańcy, sąsiadujący z równikiem.

Czyniąc zadość niniejszemu żądaniu, wstęp kroniki poświęcam kanikule i to kanikule w całem tego słowa znaczeniu.

Od kilku tygodni mamy pogodę, jakby wymarzoną, ale wreszcie i ona przejadła się Krakowianom, bo przyzna chyba każdy, że nie należy to wcale do przyjemności, jeśli człowiek musi się pocić dzień po dniu. Raz, lub dwa razy w tygodniu to zupełnie wystarczy, ale nie siedm razy.

Gdyby to choć można było wypłukać należycie swe grzeszne cielsko. Niestety, nie każdy to może uczynić, zwłaszcza, że przewidujący wszystko z góry magistrat, rozporządzeniem, datowanem jeszcze z roku 1914, zamknął nam na pół dnia wodociągi, a i we Wiśle jest tak mało wody, iż dorosła żaba nie potrafi dać porządnego nurka. A cóż dopiero mówić o człowieku, i to jeszcze dość pokaźnej tuszy, bo nie każdy miał to szczęście, iż urodził się chudy niczem szparag, lub tyka grochowa.

Ponieważ i ja należę do tej kategoryi ludzi, których przy asenterunku uwalniają od służby wojskowej *„wegen Fettleibigkeit“*, klnę też, na czem świat stoi, tego, kto wynalazł gorąco, a nie mogąc się wykąpać, chodzę po pokoju, włożywszy ręce w kieszenie, jako ów lew ryczący, a nie wiedzący, kogoby pożarł i gwizdam.

I to mi jakoś dobrze robi.

Wobec tego, że we Wiśle stan wody jest bardzo nizki, brakło też wilgoci „źródlanej“ w Smierdzącej i Cholerzynie, a co za tem idzie, niema jej i w miejskim wodociągu, wobec czego wszyscy cierpimy, w szczególności zaś fabrykanci win węgierskich, którzy musieli ograniczyć swą produkcyę, co znów odbiło się także i na przemyśle krajowym.

Z tego powodu nie polewa się także ulic, na których unoszą się tumany kurzu, zdaniem bowiem naszych kapacitetów hygienicznych lepsze to, niż używanie w tym celu wody wiślanej, w której mogłyby się znaleźć jakieś zdrowiu szkodliwe bakcyle.

Zakład czyszczenia miasta jest wobec tego pogrążony w czarnej rozpaczy i przygotowuje ogłoszenie, wzywające mieszkańców miasta do odprawiania nowenny z prośbą o deszcz.

Czy to jednak będzie miało jaki dodatni skutek, ja pozwolę sobie wątpić. Nadworny mój parasolnik, któremu przed dwoma tygodniami oddałem zepsuty deszczochron do naprawy, zapewnił mnie solennie, że aż do chwili, dopóki go nie zwróci, słoty nie będzie. O to prosi Jehowę codziennie rano i wieczór i jest najmocniej przekonany, że modły jego zostaną wysłuchane, zwłaszcza, że Medard przyniósł nam pogodę, a do uroczystości Siedmiu Braci Śpiących (patronowie naszej Rady miejskiej), którzy także lubią wilgoć, jeszcze daleko.

W zupełnie ścisłym związku z tą pogodą i brakiem wody miała stać tajemnicza śmierć łabędzia miejskiego na plantacyach, którego pewnego dnia znaleziono bez życia i bez brzucha! Opowiadano so bie, że popełnił samobójstwo, widząc, że wody w sadzawce coraz mniej, a sympatyzując z Japończykami, urządził sobie harakiri, to jest rozpruł swój żywot, wprawdzie nie nożem, ale dziobem...

Co jednak stało się w takim razie z wnętrznościami, czyli flaczkami? Chyba ich przecież nie zjadł sam, by nie być głodnym w czasie podróży na tamten świat, bo podobno nie znaleziono ich wcale.

By wyświetlić sprawę, sprowadzono pospiesznie z Londynu Sherlocka Holmesa, który zaraz na drugi dzień przybył na miejsce wraz z nieodstępnym towarzyszem, dr. Watsonem i po zbadaniu należytem sytuacyi orzekł stanowczo, iż ma się w danym wypadku do czynienia ze skrytobójczem morderstwem. Mogło go zaś dokonać jakieś indywiduum o instynktach zwierzęcych, lub może nawet jakieś zwierzę, w każdym razie istota, opatrzona zębami. Czy one były naturalne, czy sztuczne, tego na razie nie mógł skonstatować, zastrzegł też sobie decyzyę ostateczną na później.

To jedno jest pewnem, orzekł król detektywów, iż ohydnego czynu na niewinnem stworzeniu dopuszczono się w piątek, za czem przemawia okoliczność, iż wygryziono mu tylko flaki, nie ruszając mięsa, którego we wtorki i piątki używać nie wolno pod żadną postacią, a to pod zagrożeniem grzywny do pięciu tysięcy koron lub kary aresztu do trzech miesięcy, które nie będą policzone do emerytury.

Przy tej sposobności zrobiono na miejscu kilka zdjęć kinematograficznych, a jeden z poetów narodowych obiecał napisać poemat p. t. „Tragiczny zgon łabędzia“, który już w najbliższym czasie ukaże się w handlu księgarskim, a przez Radę szkolną krajową polecany został na nagrody pilności dla szkół wszelkiego rodzaju.

Najwięcej kłopotu z brakiem wody miały przecież nasze panie gospodynie, które, dowiedziawszy się, że wodociąg miejski ma być zamknięty codziennie od godziny dziesiątej rano do piątej popołudniu, na wszelki wypadek, jako przezorne istoty, skwapliwie napełniają wodą wszelkie naczynia, jakie tylko są w domu, więc: balie, cebrzyki, konewki, garnki i t. d., by mieć dość wody pod ręką. Ponieważ żadna z nich nie spotrzebuje ani dziesiątej jej części, popołudniu wylewa się wodę do kanału, pod pretekstem, że jest już ciepła, by nazajutrz powtórzyć tę samą czynność od początku do końca.

W ten sposób marnuje się więc wody więcej, niżby to miało miejsce, gdyby ograniczenia w jej używaniu nie wprowadzono.

Piwosze tylko cieszą się, gdy im bowiem żona lub teściowa zwróci uwagę, iż nie powinni używać tak wiele płynu Gambrynusa, odpowiadają:

— A co mamy pić? Może wodę?... A czem będziecie gotować, w czem prać?...

I tem się im zamyka usta.

Oby tylko ten brak wody nie wpłynął na dalsze znów ograniczenie fabrykacyi piwa i jego podrożenie, bo w takim razie życie nasze stałoby się już rzeczywiście nie do zniesienia. Jestem pewny, że gdyby to nastąpiło, codziennie notowałyby kroniki pism naszych po kilkanaście wypadków samobójstwa z rozpaczy. Jedni wieszaliby się na plantach, gdzie dość miejsca dla całego Krakowa, ja wybrałbym sobie najstraszniejszą śmierć, rzucając się w nurty Wisły, wody zaś nie znoszę. Na sam jej widok doznaję przykrego uczucia i gniecenia w dołku podsercowym, na co medycyna zna tylko jedno antidotum, to jest bombkę, lub dwie pilznera, ale dobrego, prosto z beczki.

Cieszymy się przecież nadzieją, że nastaną lepsze czasy, bo wojna nareszcie się już skończy, zwłaszcza, że Włosi nie będą mogli długo wytrzymać, gdyż spaliła się fabryka obuwia w Newark w Stanach Zjednoczonych, która dla nich przygotowała ośmset tysięcy par butów. A boso po skałach chyba łazić nie będą. Wprawdzie król Wiktor Emanuel, objechał automobilem cały front wojenny, mający pono coś około pięćset kilometrów długości i drapał się, raz na skały, drugi raz zaś w głowę, gdy armia jego dostała nad Isonzo lekko po skórze, ale on temu nie winien. Robi, co mu żona każe i może służyć każdemu za wzór posłusznego małżonka.

Najsmutniejsze, że wojnę wypowiedziała nam i rzeczpospolita San Marino. Tego należało się spodziewać, ale także i obawiać, bo nuż za jej przykładem pójdzie Andorra? W takim razie bylibyśmy pozbawieni baraniny, a to jedyna deska mięsnego ratunku w postne dni wtorkowe i piątkowe!

Ale Andorra, to już właściwie Hiszpania, choć częściowo zależna jest i od Francyi, nie będzie nam więc robić obstrukcyi, z Włochami zaś damy sobie jakoś radę.

Turecki minister wojny, Enver basza, jest tego samego zdania, co i ja, powiedział bowiem wyraźnie, iż dotąd Włosi nigdy jeszcze nie zwyciężyli, niedawno zaś ja wyraziłem się, że zawsze brali po skórze, a to w zasadzie na jedno wychodzi. Mówiono mi, i to z bardzo poważnego i wiarygodnego źródła, że stale czytuje on *Nowości Illustrowane* i miał nawet raz odezwać się do wielkiego wezyra, iż jest prawie pewnym, że kronikarz jest także Młodoturkiem.

Co do tego ostatniego, to jest w błędzie, ja bowiem ani na Młodoturka, ani nawet na Staroturka nie mam żadnych kwalifikacyi, choć, prawdę mówiąc, zazdroszczę im w głębi duszy tego hartu, jaki okazują, dając sobie radę z tylu żonami i tylu teściowemi. Ja mam tylko jedną, a do końca nigdy z nią dojść nie mogę!

Ilekroć wspomnę o swej poczciwej Weronisi, tyle razy przychodzi mi na myśl zaraz „gruba Berta“, a właśnie miałem o niej pisać ze względu na to, iż jej współojciec (chyba współwynalazca?... przyp. zecera), major Maksymilian Bauer, został teraz zamianowany honorowym doktorem filozofii uniwersytetu berlińskiego.

Sądzę, że zaszła tu pomyłka. Gdyby to odemnie zależało, zrobiłbym go doktorem, ale medycyny, przy pomocy bowiem owej „grubej Berty“ więcej osób przeniosło się do wieczności, niżby tego potrafili dokonać wszyscy razem lekarze, a oni właśnie są uprzywilejowanymi dostawcami żywego towaru na tamten świat.

Obok „grubej Berty“ wielkie zastosowanie w obecnej wojnie światowej znalazły i karabiny maszynowe, które znów swem trajkotaniem przypominają bardzo młodsze me latorośle rodzaju żeńskiego. — Wszystkie trzy odziedziczyły po swej mamie nadzwyczajną wymowność i wyrobienie zawiasów szczękowych, język zaś obraca się im z taką sprawnością, że w kąt przed nim najbardziej udoskonalona śruba powietrzna!

I im muszę dziś poświęcić słów kilka, a to ze względu na lajkonika. Najstarsza z nich widziała go już coś prawie trzydzieści razy i tego też roku wybierała się w oktawę Bożego Ciała na rynek, niestety, spaliło na panewce. Lajkonika obchód odwołano i odłożono na rok przyszły i to było właśnie powodem, że cały mój dom przez godzin kilka z rzędu był bardzo podobnym do pola bitwy, na którem grają karabiny maszynowe, a od czasu do czasu gruchnie „gruba Berta“.

Córeczki rozpuściły języczki, rozwodząc się nad tem, że naruszono tradycyę nie urządzając dorocznego obchodu, od czasu do czasu przytakiwała im mama swym basem, a ja, znudzony wreszcie temi gadaniami, zabawiłem się w nieprzyjaciela, to jest rozpocząłem odwrót i nie oparłem się, aż w bezpiecznym odcinku „pod Obrazem“.

Choć, jeśli prawdę mam powiedzieć, i to miejsce nie jest znowu tak bezpiecznem, gdyż często, zwłaszcza w dni kwiatka, zapuszczają tutaj swe zagony amazonki z puszkami i tackami i niepokoją człowieka.

A te dni kwiatka mnożą się z roku na rok. W miarę tego wzrosła natarczywość kwestarek, ale też i odporność ogółu, który, mając coraz mniejsze dochody, musi też i ograniczyć swe wydatki.

I ani nie przypuszczałem, że moja kronika może mieć taki skutek. Gdym ją zaczynał, słońce prażyło do tego stopnia, że atrament wysechł mi w kałamarzu, a wody nie można było dolać, gdyż wodociąg był zamknięty, zapomnieliśmy zaś pójść w ślady naszych gospodyń i przygotować wilgotne zapasy na czarną, raczej suchą godzinę. W chwili, gdy ją mam kończyć, zmieniło się, jak przewidywałem z góry. Nastało zimno, tak, że człek dzwoni zębami, kto wie, czy nie będziemy mieć i słoty, gdyż mój parasolnik wywiązał się nareszcie z danego przyrzeczenia i przyniósł naprawiony deszczochron, wobec czego o pogodę dłużej niebios napastować chyba nie będzie.

Może i dobrze się stało, że temperatura się obniżyła, gdyż magistrat miasta miał właśnie w tych dniach wydać zakaz kąpania się w Wiśle i Rudawie, ze względu na pływające tam bakcyle cholery i tyfusu, które, aczkolwiek nie posiadały „passierscheinów“ przedostały się przecież do nas na utrapienie pana fizyka.

Innego zdania jest natomiast magistrat czy też starostwo w jakiejś czeskiej miejscowości, nakazało bowiem uchodźcom galicyjskim, zwłaszcza mojżeszowego wyznania, myć się, kąpać i strzydz, z czego oni nie są wcale zadowoleni.

Ciekawy jestem, który z panów fizyków ma racyę, czeski, czy krakowski. Zasięgałem w tej kwestyi zdania jednego z bakteryologów, bo lubię się zawsze pytać, zwłaszcza jeśli czegoś nie wiem, powiedział, że krakowski Urząd zdrowia niepotrzebnie nas tak straszy, im bowiem bakcylusów będzie więcej, tem one nam mniej szkody wyrządzą. Między nimi panuje ogromna zawiść i niech tylko bakcyl cholery spotka n. p. gruźliczego, rzuca się nań i pożera, tak, że na placu boju pozostają tylko niedogryzione dwa ogony, które dla ludzkiego zdrowia nie są wcale szkodliwe. Słowem, dzieje się taka historya, jak z owemi słynnemi myszami Radziwiłłowskiemi, o których czytaliśmy ongiś w szkole.

Skoro zawadziłem o szkołę, to muszę zaznaczyć, że nasi czcigodni światłodawcy są bardzo niezadowoleni z rozporządzenia Rady Szkolnej krajowej, na mocy którego rok szkolny 1915 ma się w Galicyi skończyć dopiero w drugiej połowie lipca, a to ze względu na to, iż późno się zaczął, oni zaś chcieliby sobie wypocząć i nabrać sił na rok przyszły.

Krem do zębów
KALODONT
70 halerzy.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy. równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a
a		i		i
i	i	i	i	j
j		k		k
l	l	l	s	t

Znaczenie wyrazów: 1 Jedna z Muz. 2 Kwiat. 3. Bohater z pod Troi.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć utwory poniżej wymienionych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego poety.

Syrokomla?
Göthe?
Klopstock?
Aryost?
Milton?
Wieland?
Ibsen?
Krasiński?
Mickiewicz?
Wolska?

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza, ostatni zaś, z dołu do góry, jego imię.

□ — □
□ — □
□ — □

Znaczenie wyrazów: 1. Ryba rzeczna. 2. Ptak 3 Miesiąc.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mańka! Strajk! Inny paź dokupi szałas.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Wspak pierwsza, nazwisko polskiego pisarza,
(Autor powieści „Głowy do pozłoty“)
Drugie i trzecie, co się często zdarza,
Znajdziesz fałszywe, choć to nie są koty.
Całość, to imię właściwe kobiecie,
Które z pewnością wszyscy odgadniecie.

Równania.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem zaś tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{4} + \frac{b}{2} + \frac{c}{3} + \frac{d}{2} = x$$

$$\frac{e}{4} + \frac{f}{2} + \frac{g}{3} + \frac{h}{2} = y$$

Znaczenie wyrazów: a) Taniec ruski. b) Pasza dla bydła. c) Narzędzie d) Herb polski. e) Znany przewodnik tatrzański. f) Ptak domowy g) Poeta polski h) Odłamki drzewa.

Logogryf.

Ułożył R Królicki, Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Litery, wstawiawione w miejsce kwadratów, czytane z gory na dół, utworzą epizod z obecnej wojny.

— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — — □ —
— — — — □
— — — □ —
— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1 Herb polski. 2. Płyn tłusty. 3. Ptak drapieżny. 4. Gorący płyn 5. Roślina. 6. Część twarzy. 7. Skała. 8. Roślina pastewna. 9. Cudowny pokarm. 10 Koń. 11. Sprzęt domowy 12. Ryba. 13. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

On uwali ręką w dzban. Wieziemy go do Jana.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

ALFONS J. E EITT

MEDARD C. N. KATONOW

ANICET S. KRAL

KAROL LOT

KORNEL GIZ

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryi Konopnickiej:* **Imagina.** Z przedmową A. Grzymały Siedleckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Kwadrat magiczny:

G	r	e	y
R	y	g	a
E	g	e	r
Y	a	r	d

Zadanie do przestawienia: Jedna jaskółka nie przynosi wiosny.

Przekładanka:

Małżonek
Igrzysko
Łacinnik
Krokodyl
Obywatel
Wodzirej
Saksonia
Kochanek
Inwalida.

Trójkąt magiczny:

K o s s a k W o j c i e c h
O b r a z o b u r s t w o
S e k w e s t r a c y a
S z k a r l a t y n a
A r y e r g a r d a
K a b r y o l e t
W e s t a l k a
O l g i e r d
J a ś m i n
C h a r t
I r y s
E t a
C o
H

Okienko:

H	o	m	e	r
o		a		e
m	a	r	e	k
e		e		i
r	e	k	i	n

Łamigłówka: Gont
Żale
Elis
Zlot
Runo
Syrt

Szarada: Białogłowa.

Zadanie do przestawienia: Kto wysoko lata, ten nizko spada.

Bilety wizytowe: Muzykantka Kantyniarka Kominiarz. Oficer prowiantowy. Kataryniarz

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzow. A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik. S. Ramza Wieliczka. M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, R. Królicki Nowy Sącz, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow. W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, H. Królicki Nowy Sącz, R Królicki Krościenko n. D.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Świrski, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Do naszych Czytelników!

Polskie Archiwum Wojenne, pragnąc skompletować dwa egzemplarze naszego pisma, poszukuje numerów 27 i 47 *„Nowości Illustrowanych“* z r. 1914. Zarząd prosi Szanownych Czytelników, będących w posiadaniu wymienionych numerów, o łaskawe nadesłanie ich, ewentualnie za zwrotem kosztów, do zbiorów Polskiego Archiwum Wojennego, Wiedeń I. Steindelgasse 6, II p.

Upraszam wszelkie towarzystwa polskie, komitety wychodźcze, redakcye, departamenty i sekcye N. K. N., biura i komisaryaty wojskowe Legionów polskich, szkoły, słowem wszelkie organizacye narodowe i instytucye galicyjskie, przebywające czasowo na emigracyi, by raczyły dla celów archiwalno-muzealnych nadesłać na moje ręce wyraźne odciski swych urzędowych pieczęci w dwóch egzemplarzach wraz z oryginalnymi podpisami członków zarządu, czy wydziału. Odciski małych pieczęci nadsyłać można na zwykłej kartce korespondencyjnej za 5 hal. **dr. Karol Badecki,** urzędnik Archiwum król. stoł miasta Lwowa, obecnie Morawy, Berno, Baeckergasse 2, II. piętro.

Z półek księgarskich.

Aktualne broszury. Nakładem księgarni Podhalańskiej w Zakopanem ukazały się świeżo bardzo aktualne broszury dr. J S., p. t.:

Co to jest cholera i jak ją zwalczać (20 hal.)
Tyfus plamisty i brzuszny (20 hal.)
Dysenterya, jej istota i zwalczanie (20 hal.)
Desinfekcya. (10 hal.)

W broszurach tych, po popularnie utrzymanym wstępie o bakteryach w ogólności, ich istocie i sposobach rozmnażania się, przechodzi autor w części drugiej do omówienia istoty danej choroby, jej objawów, oraz sposobu pielęgnowania chorych, środków zaradczych i lekarskich. W części trzeciej traktuje o desinfekcyi, sposobach jej przeprowadzania i środkach odkażających.

Całość tych broszur utrzymana w tonie popularnym, a przecież ściśle wnikającym w istotę rzeczy, przy nizkiej cenie po 20 halerzy za egzemplarz, przedstawia się bardzo dodatnio i czyni je polecenia godnemi.

Szczególnie obecnie polecić je trzeba każdemu, komu zdrowie własne i bliźnich leży na sercu

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Szczęśliwy.

— Powiadam ci, że ten Kohn to ma doprawdy psie szczęście... Nie dość, że zarobił na dostawach wojskowych przeszło pół miliona i chwycił główną wygraną na ostatniej loteryi klasowej, wygrał jeszcze odemnie wczoraj dwie korony w preferansa.

Dziwny człowiek.

— Hm! Muszę ci powiedzieć, że ten nasz sąsiad z przeciwka to mi się wcale nie podoba! Mówi wprawdzie. ile razy spotka kogo znajomego: „Niech Bóg skarze Anglię!“, ale równocześnie ściska tak za rękę, jakby spotkał samego Greya...

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłki uskuteczna się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Rok założenia **1900**

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Józef Lasoń.

Zatracone dusze

Nowele.

Treść: W księżycową noc. – Krew. – Za wstyd. – Na Saksy. – Wojtek malarz. – Warkocz: Cześć I. Peja. Cześć II. Jedna chwila.

Cena 2 korony.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

W najbliższych dniach wyjdzie z druku:

CHRYSTUS

Pieśń o Polsce.



Tylko wprost

z fabryki

„SUDETIA"

Jägerndorf Nr. 15. (Śląsk austr.)

Kupujcie **męskie i damskie** materyały jak i śląskie towary płócienne najlepszej jakości **po najtańsz. cenach fabrycz.**

Resztki za bezcen

Żądajcie próbek.

Piękne nowości sezonu.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór torebek damskich.	Wielki wybór ZABAWEK. Lalki Krakowianki. Laski i toporki. Kartki korespondencyjne illustrowane.

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych" **odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe** z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.